

PRZEKŁAD I POLITYKA

Zapis dyskusji, która odbyła się podczas III Międzynarodowego Festiwalu Literatury im. Josepha Conrada w Krakowie 5 listopada 2011 roku

Magda Heydel: Dzisiaj chcielibyśmy porozmawiać o przekładzie jako działaniu odbywającym się w przestrzeni społecznej, rządzonej czynnikami niezależnymi od tłumaczy i ich zamierzeń. Tłumacz zawsze pracuje na rzecz jakiejś idei czy ideologii. Jak każdy podmiot, służy jakiejś sprawie. Chcielibyśmy, żeby służył dobrej sprawie, ale bywa różnie. Zapraszam zatem do dyskusji o przekładzie i polityce w rozmaitych wymiarach i znaczeniach. Jestem przekonana, że tę wielowątkowość zapewni obecność naszych gości. Do rozmowy zaprosiliśmy czworo znawców i praktyków przekładu. Są nimi:

Susan Bernofsky – eseistka, tłumaczka, academiczka, pisarka mieszkająca w Nowym Jorku. Powiada, że Berlin jest jej drugim domem, a ojczyzną literatura języka niemieckiego. W jej dorobku znajdują się dzieła m.in. Roberta Walsera. Susan aktywnie działa w amerykańskim Pen Clubie, koordynowała również działania tłumaczy dla protestujących na Wall Street, co obrazuje bliskie związki przekładu i polityki w jej praktyce.

Anders Bodegård – twórca, którego drugim domem jest literatura polska, a trzecim – francuska. Od ponad dwudziestu lat tłumaczy największych pisarzy polskiej współczesności: Miłosza, Szymborską, Zagajewskiego, Lipską, Gombrowicza, Kapuścińskiego, Krall. Jest wychowawcą tłumaczy polskiej literatury na szwedzki i szwedzkiej literatury na polski.

Andrej Chadanowicz – poeta, tłumacz poezji i eseista, nauczyciel akademicki. Wykłada literaturę powszechną i francuską oraz sztukę przekładu, czyli translatoologię praktyczną. W Polsce w 2006 roku ukazał się wybór jego poezji *Święta nowego rocku*. Andrej jest również performerem i wykonuje w charyzmatyczny sposób swoje utwory. Tłumaczy z polskiego, rosyjskiego, ukraińskiego i francuskiego.

Adam Pomorski – przewodniczący polskiego Pen Clubu, krytyk literacki i eseista, a przede wszystkim jeden z najważniejszych i najbardziej „onieśmielających” tłumaczy literatury pięknej w Polsce. Tłumaczy z rosyjskiego, niemieckiego, angielskiego, białoruskiego i ukraińskiego, a wśród jego dokonań są *Faust* Goethego, *Bracia Karamazow* i *Biesy* Dostojewskiego, poezje T.S. Eliota, Rilkego, Achmatowej, Chlebnikowa, Bunina, Blake’a, Jesienina, Mandelsztama. Te osiągnięcia zostały uhonorowane licznymi wyróżnieniami: dwukrotnie nagrodą „Literatury na Świecie”, nagrodą Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich, Ministra Kultury i polskiego Pen Clubu.

Nasi goście reprezentują różne języki, kultury, obszary geograficzne i obszary zainteresowań. Chciałabym ich zatem spytać, gdzie – z ich perspektywy – przekład styka się z polityką.

Susan Bernofsky: Myślę, że sytuacja w Stanach Zjednoczonych jest w tym kontekście specyficzna. Angielski stał się językiem popularnym na całym świecie. Słyszy się go nawet podczas Festiwalu Conrada, mimo że w Polsce oficjalnie nie mówi się po angielsku. Tak więc z jednej strony jesteśmy w Stanach Zjednoczonych uprzywilejowani, bo wszyscy posługujemy się tym językiem (zresztą historyczne przyczyny tego stanu nie zawsze były przyjemne). Z drugiej strony wiąże się to z pewnymi efektami ubocznymi. Pojawia się bowiem niebezpieczeństwo, że może dojść do izolacji kulturowej i politycznej, właśnie ze względu na dominację angielskiego. Dlatego tłumacze literatury w Stanach Zjednoczonych stale zaangażowani są w walkę, by Amerykanom przybliżyć literaturę innych krajów, pisaną w innych językach. Jest wiele powodów, dla których przekład nie odgrywa znaczącej roli w amerykańskim świecie literackim. Jedynie 3% literatury na naszym rynku to przekłady z języka innego niż angielski.

Magda Heydel: W Polsce to ponad 50% rynku.

Susan Bernofsky: 50% to zdrowy odsetek przekładów. Chciałabym, żeby w Stanach też było ich więcej. To oczywiście wiąże się z kwestiami gospodarczymi, z ekonomią wydawniczą. W Polsce też to zauważyłam, a spędziłam tutaj dopiero cztery dni. Kiedy wchodzę do najbardziej znanych sieciowych księgarni, przy wejściu witają mnie olbrzymie stosy książek i olbrzymie plakaty: „Najnowsze dzieło Paulo Coelho”, „Najnowsze dzieło Umberto Eco”, który przynajmniej jest pisarzem. O co mi chodzi: wy-

dawcy zarabiają dużo więcej, jeżeli wydają mniej tytułów w większym nakładzie. W Stanach Zjednoczonych ogromną rolę odgrywa kapitalizm – dlatego doszło do okupacji Wall Street. Z tego względu komisja do spraw translatoryki w amerykańskim Pen Clubie, której przewodniczę, wiele środków finansowych, a także czasu i uwagi poświęca na to, by promować zagranicznych autorów i pogłębiać świadomość istnienia literatury światowej, którą warto by wprowadzić na amerykański rynek. Ale także i w Pen Clubie musimy stale pamiętać, że trzeba propagować wiedzę o tym, czym jest przekład literacki, bo wielu osobom wydaje się, że literatura, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, sama przeskakuje z języka na język. Bardzo długo mogłabym jeszcze mówić na ten temat, ale zanim się okaże, że minęła godzina, może podzielę się mikrofonem z kolegami.

Magda Heydel: Bardzo dziękujemy za to wprowadzenie, które wskazuje na zasadniczy problem polityki przekładu: istnienie języków dominujących, czasem nazywanych imperialnymi, na które każdy autor chce być tłumaczony. W Stanach Zjednoczonych językowa homogenizacja literatury jest rzeczywiście zjawiskiem wyraźnym. Czy podobnie jest w Europie? Gdzie przebiega styk polityki i przekładu?

Anders Bodegård: Czy ja mógłbym zacząć inaczej? Ponieważ pomyślałem o sobie: jak to się stało, że zacząłem przekładać literaturę? I powiedziałbym, że dzięki polityce. W latach siedemdziesiątych byłem lewicowcem i przełożyłem kilka broszur portugalskich uchodźców w Szwecji z portugalskiego na szwedzki. Ale chciałem do Polski, bo znałem polski. I znalazłem się tutaj jako lektor języka szwedzkiego w osiemdziesiątym pierwszym roku. Jak sami wiecie, te lata były dziwne, inne: mieliśmy nieco mniej do jedzenia, za to dużo do myślenia. I dużo się pisało, pisało się bardzo dużo, ale nie wolno było niczego drukować. Wtedy zacząłem przekładać z polskiego na szwedzki, z dwóch przyczyn. Był stan wojenny, a ludzie w Szwecji chcieli jakoś wspierać Polskę. Ciekawi byli, co się w niej dzieje, więc istniała potrzeba przekładu. Poza tym mieliśmy wyjątkowego ambasadora, który potajemnie przekazał te teksty do Szwecji. To również aspekt polityczny. Ale zacząłem przekładać bardzo wcześnie, przede wszystkim dla siebie. Dostawałem wiersze podziemne i zacząłem przekładać. I dzięki temu również uczyłem się lepiej polskiego i szwedzkiego! Wtedy zrozumiałem, że jednak jestem tłumaczem. To sprawa tożsamości: odkryłem ją tutaj, na Zakątku w Krakowie. I od tego czasu przekładam. To ciekawe, że

miałem taką dramatyczną... romantyczną, przepraszam, drogę. Mogłem w każdej chwili wrócić do kraju, a to był dla mnie początek. Styk przekładu z polityką... bardzo konkretny.

Magda Heydel: No i z biografią. Z tego, co mówisz, można by wysnuć – zapewne fałszywy, ale prowokacyjny – wniosek, że moment zniewolenia jest dobrą pożywką dla rozwoju twórczości, również przekładowej. Teraz podobne pytanie do Andreja, który może przekonać się na własnej skórze, jak życie w nie całkiem wolnym społeczeństwie wpływa na działalność tłumaczeniową. Andrej przekłada na przykład dzieła wybitnych poetów początku XX wieku na język białoruski.

Andrej Chadanowicz: Tak naprawdę nie trzeba być Białorusinem, żeby docenić wygody sztuki tłumaczenia. Jednak tłumacz mógł w różnych epokach znaleźć się na stosie, jeżeli jego pogląd na to, co należy przekładać, nie odpowiadał piromanom w jego kraju. Do dzisiaj istnieją miejsca, gdzie na autora może spaść fatwa, a jeśli ręce prześladowców są zbyt krótkie, żeby go dosięgnąć, bywa, że ucierpi wydawca lub tłumacz. A bliżej Białorusi i postsowieckich krajów... Tu przekład z polityką spotykają się wtedy, gdy ktoś decyduje, co musi, a co nie musi zostać przełożone... I dlatego czasem tłumacze mają w dorobku podejrzone pozycje. Największy, najwspanialszy, najbardziej zasłużony tłumacz poezji i prozy niemieckojęzycznej na Białorusi, Wasyl Siomucha, oprócz Tomasza Manna i Klaus Manna, oprócz Hermanna Hessego, *Fausta*, Rilkego i wielu innych, ma wśród swoich przekładów tom erotyków pewnego niemieckojęzycznego młodzika... Młodzik nazywał się Karl Marx.

Magda Heydel: Ciekawa poezja?

Andrej Chadanowicz: W tłumaczeniu Wasyla Siergiejewicza Siomuchy – tak. Mieliśmy do czynienia z sytuacjami, kiedy dobry rosyjski poeta i tłumacz mógł pójść do łagru, gdy pewnemu autorowi nie spodobał się przekład jego gruzińskojęzycznych wierszy na rosyjski. Czy muszę wyjaśniać, jak nazywał się autor? Adam słusznie powiedział, że białoruski to język, w którym nie da się wyrazić skomplikowanej myśli. W tej sytuacji powstanie jakiegokolwiek dobrej książki w dobrym białoruskim przekładzie jest również faktem politycznym. Oprócz tego, żadna polityka nie zwalnia tłumacza z obowiązku wiązania najlepszych słów w najlepszym porządku,

tłumaczenia tego, co musi zostać przetłumaczone... Ale w białoruskiej sytuacji mamy dodatkowy luksus: elektryzację spotkań z autorami. Na przykład kilka miesięcy temu na festiwal Wielkie Księstwo Poezji przyjechał do Mińska Ryszard Krynicki. Dostał białoruską wizę, co samo w sobie jest już dziwne. Z tego wynika, że urzędnicy jednak nie czytają biografii wspaniałych twórców... A potem w przepelnionej sali konserwatorium przeczytaliśmy na dwa głosy niejakiego Czesława Miłosza wiersz z połowy stulecia, *Który skrzywdziłeś*. I trzeba było widzieć oficjalnych bonzów, którzy chowali twarze, ale musieli to ścierpieć – przecież z Polski przyjechał wielki gość... Chadanowicza nikt nie wpuściłby na scenę, ale przy okazji tłumaczenia, z poparciem międzynarodowych instytucji, ambasady polskiej, Instytutu Polskiego w Mińsku, mamy już prawie wolność. A to znaczy, że jesteśmy blisko polityki.

Magda Heydel: Andrej ma talent do tego, żeby o trudnych sprawach, dotykających go bardzo osobiście, mówić lekko i budzić śmiech. Ale myślę, że to, o czym nam opowiedział, jest w samym centrum zagadnienia: władza jako czynnik zewnętrzny, który decyduje o tym, co tłumacze robić mają, czego im robić nie wolno, i na jakich warunkach mogą realizować swoje zadania i zamierzenia twórcze. Bo przecież nie mówimy tutaj o przekładzie tekstów politycznych, które bezpośrednio odnoszą się do sytuacji w kraju, tylko o tekstach literatury pięknej. Wobec tego teraz pytanie o styk polityki i przekładu kieruję do Adama Pomorskiego, który jest osobiście zaangażowany w przekraczanie różnych pozornie nieprzekraczalnych barier i przewodniczy instytucji, która się tym zajmuje.

Adam Pomorski: Przyznam, że jechałem tutaj pod wpływem Magdy Heydel w przekonaniu, że wszystko, co robię w dziedzinie przekładu, jest ściśle związane z polityką, ale kiedy wysłuchałem moich kolegów, doszedłem do wniosku, że żyję w rajskim zakątku świata, gdzie w ogóle nic nie jest związane z polityką i mamy święty spokój. Moje działania na pewno nie wiążą się z polityką i ideologią w tym sensie, o którym mówili koledzy. Mam luksus niezwalczania kapitalizmu na Wall Street, nie muszę również tłumaczyć wierszy miłosnych paru dżentelmenów, którzy mają bliższy związek z polityką niż ja, i w związku z tym chyba wrócę do domu.

Ale mówiąc poważnie: wydaje mi się, że jest kilka powodów, dla których rzeczywiście można wyznaczyć pewne styki z polityką w naszej pracy, nawet jeżeli nie odbywa się ona w warunkach tak opresyjnych ani tak

konfliktowych, jak opisywali koledzy – historycznie czy terytorialnie. Po pierwsze, od czasu kiedy Goethe użył jako pierwszy pojęcia literatury powszechnej, *Weltliteratur*, mamy do czynienia z sytuacją, w której każda kultura narodowa, każda literatura narodowa musi w jakiś sposób mierzyć się z tym zjawiskiem – literatury lub kultury powszechnej. Jeżeli zważymy, że to ćwierć tysiąclecia, które upłynęło od czasów Goethego, to okres tak czy inaczej nazywanej modernizacji cywilizacyjnej, przez którą przechodzimy w Polsce, jak mnóstwo innych krajów ościennych i nieościennych, wówczas pojawia się problem, który może być polityczny w najróżniejszym rozumieniu tego słowa: problem nierównomierności, nierówności literatury tłumaczonej i literatury, na którą się tłumaczy. W sytuacji nierówności kulturalnej, kiedy przekłada się na literaturę, której gorszość cywilizacyjną się uznaje – co miało miejsce co najmniej od czasów Oświecenia, jeśli nie Romantyzmu (stąd misje cywilizacyjne, które przypisywali sobie tłumacze) – przykład aż prosi się o polityczną interpretację. Ja od lat mam taki pogląd, który bywał formułowany przez konserwatystów różnego chowu, ale wywodzi się mniej więcej od czasów Wilhelma Humboldta, od niemieckich pierwocin nowoczesnej myśli humanistycznej: uważam, że tłumaczy się dzieła na wyższym poziomie po to, żeby bronić własnego języka, własnej literatury, żeby weryfikować tę literaturę, ten język, i tę stylistykę, sprawdzać, czy wytrzymuje konfrontację z oryginałem. Jeżeli tej konfrontacji nie wytrzymuje, jeżeli nie jesteśmy w stanie oddać po polsku subtelności, precyzji czy bogactwa oryginału, to znaczy, że rzeczywiście cierpimy na gorszość, o której wspominałem. Jeżeli to się udaje, wówczas przekład spełnia nasze wewnątrz kulturowe, wewnątrz literackie funkcje, i o to chyba właśnie chodzi. No, a do tego dołącza się jeszcze sytuacja, która nam w Polsce została w pewien sposób narzucona, choć pewnie sami jesteśmy sobie winni. Polska od zarania, od czasów wymiernych historycznie, czyli piastowskich, była kulturą wieloetniczną. I tak nasza kultura i literatura rozwijały się przez wieki. Od czasów tak zwanej unii polsko-litewskiej, która na następne pół tysiąclecia dała napęd rozwojowi kultury i tradycji, stosunki wieloetniczne były tak bogate, że właściwie stworzyły, w moim przekonaniu, byt osobny. Mimo wszelkich wewnętrznych konfliktów, narodowości tworzyły wspólną całość, która była całością płodną, owocną i nierozdzielną. Nierozdzielną w sensie kulturowym. Nie mówię w tej chwili o tym, że nasze miłe narody lubiły sobie wzajemnie głowy ucinąć, bo to jest sprawa odrębna i – jak by to powiedzieć – materia naszego folkloru.

Magda Heydel: Śmiało powiedziane.

Adam Pomorski: No, ku mojemu lekkiemu zaskoczeniu narody ościenne mają na nasz temat te same – najbardziej sadystyczne – legendy, które my mamy na temat narodów ościennych, więc byłbym ostrożny z mitologiami narodowymi. Otóż stało się tak, że kilku panów – i to z kategorii tych poetów, o których Andrej tutaj opowiadał – zadbało w połowie XX wieku o to, żeby Polska była kulturą jednoetniczną. Jałta uczyniła to po raz pierwszy w praktyce. Nie trzeba było nadużywać stereotypu Polak-katolik, żeby stał się on prawdą administracyjną w skrajnie negatywnym sensie. I to jest nieszczęście dla kultury polskiej, nieszczęście dla nas wszystkich. Było wielkim dziełem Giedroycia i „Kultury” paryskiej, Instytutu Literackiego, że polscy intelektualści i politycy tak wcześniej spróbowali oprzeć się temu zjawisku i nawiązać kontakty – zerwane w sposób tak tragiczny – ponownie. Mówię o tym w tej chwili na poziomie kultury, literatury, tradycji literackiej.

Ale istnieje inny wymiar polityczny. Nie wymiar władzy – z nią nie-specjalnie trzeba się w tej chwili zmagać; można z nią polemizować, ale to w zupełności wystarczy. Mam na myśli wymiar potocznej społecznej epistemologii, która posługuje się stereotypem. Stereotypem jako skrótem myślowym, niekoniecznie jako uprzedzeniem. Otóż ten stereotyp polski w stosunku do naszych najbliższych sąsiadów na wschodzie jest, niestety, tradycyjnie uwikłany w coś, co przedstawiciele kultury zachodniej nazwaliby, o zgrozo, dyskursem kolonialnym. Dlatego mówiłem, że sami jesteście sobie trochę winni. Nie po to robiliśmy unię polsko-litewską, żeby nawracać chrześcijan wschodnich ani żeby im wnosić cywilizację z zewnątrz. Nie dlatego rozdzieliły nas toporem państwa totalitarne, żeby pozbawić tamte kraje naszego błogosławionego wpływu cywilizacyjnego. To stereotyp, który każe Polakom mówić na przykład, że nie ma powodów interesować się literaturą litewską, bo tam przecież nie ma żadnej literatury. Po co Polacy mają uczyć się historii albo języka litewskiego, żeby czytać litewską literaturę, skoro jej nie ma? Otóż tego typu stereotyp wraca. Wraca bezustannie. Można uciąć mu jedną głowę – odrosną trzy inne. I nikogo nie przekona się perswazją. Tutaj trzeba dostarczyć tekstów, pokazać konkret. Możemy zgadzać się z naszymi sąsiadami albo i nie, możemy im nawet głowy ucinać, ale najpierw nauczymy się, komu. I choć obecny tu Andrej Chadanowicz wywarł na mnie niesłychanie opresyjny nacisk, żebym przekładał białoruskich poetów, jednak to, że osobiście podjąłem

się tego zadania – tłumaczenia Białorusinów, tłumaczenia Ukraińców, tłumaczenia Litwinów – wynika z mojego świętego przekonania, że te teksty po prostu powinny funkcjonować w Polsce i być dla Państwa dostępne. Państwo mają tyle rozumu, że potrafią ocenić utwór, swoje przemyśleć, wyrobić sobie pogląd, ale my nie możemy dalej brnąć w psychologiczną Jaltę, w poczucie Obcego tuż za wschodnią granicą. Obcy jest niezróżnicowany. Obcy nie rozwija się w czasie. Obcy jest od razu, cały. Gdyby ktoś zaczął mi wmawiać, że Polacy są tacy a tacy, to nie uwierzyłbym mu z doświadczenia, bo wiem, że Polacy są różni. Różni są Białorusini, różni są Ukraińcy, różni są Litwini, różni są Żydzi, Niemcy, Czesi. Nawet Rosjanie są różni, chociaż trudno w to uwierzyć. Otóż z tego punktu widzenia naszym jedynym psim obowiązkiem jest pozbycie się stereotypu obcości. A do tego musimy mieć konkret i tekst.

Magda Heydel: Bardzo dziękujemy za to wielowątkowe, ale bardzo jasne przesłanie. Z jednej strony Adam wspomniał o imperialistycznym wymiarze przekładu. Jeśli przekładamy inną literaturę, uważając, że jest gorsza, możemy z nią zrobić, co chcemy, bo jesteśmy wobec niej w sytuacji władzy. Jeżeli tłumaczymy z szacunkiem, wtedy mamy szansę odkryć inność. Już nie obcość, ale odmienność, w której możemy odnaleźć dla siebie sensy i sprawdzić, czy jesteśmy w stanie tym sensom poddać. Ale to jest oczywiście karkołomne zadanie, zwłaszcza z perspektywy języka, który chętnie połyka i przerabia na własną modłę. Susan, czy zechciałabyś o tym powiedzieć dwa słowa?

Susan Bernofsky: Jestem pod olbrzymim wrażeniem tego, co, Adamie, powiedziałaś, bo oto przekonałaś mnie, że Polska to Stany Zjednoczone Europy. I dziękuję, że wspomniałaś także o Wilhelmie von Humboldcie. Chciałabym przytoczyć kilka myśli jednego z osiemnastowiecznych pisarzy niemieckich na temat tłumaczenia, bo wydają mi się one zadziwiająco aktualne. Friedrich Schleiermacher, formułując teorię na przełomie XVIII i XIX wieku, stwierdził, że przekład jest aktem politycznym, który może być wykorzystany do nawiązania innej interakcji natury politycznej. Ważne nie jest to, czy tłumaczymy, ale przede wszystkim to, jak tłumaczymy, jaki sposób tłumaczenia wybieramy. I z punktu widzenia historii to właśnie stało się bardzo istotne w Stanach Zjednoczonych, ponieważ mamy tradycyjne, staromodne podejście do przekładu, które Venuti nazywa udomawianiem. Na czym ono polega? Otóż bierze się tekst w języku obcym i się go w jakiś

sposób połyka, trawi i sprawia, że staje się angielski, jeżeli tłumaczymy na angielski. I tego rodzaju tłumaczenie nie jest tłumaczeniem z szacunkiem, bo wymazuje wszystkie różnice. Tak więc prawdziwe wyzwanie polega na tym, żeby nie tylko przełożyć treść (była już mowa o erotykach Marksa), lecz także przekazać coś z dziedziny kultury czy kontekstu (także politycznego), w którym taki wiersz powstał. Muszę powiedzieć, że w Stanach branża wydawnicza podchodzi do takiego zamysłu z olbrzymią niechęcią. Jednak trzeba pamiętać, że tłumaczenia, które wykonujemy, mają taki polityczny wymiar.

Magda Heydel: Teoria przekładu pozwala wykroczyć poza analizę decyzji pojedynczego tłumacza i opisać pewną ramę koncepcyjną, w której istnieje przekład. Lawrence Venuti jest oczywiście czytany i dyskutowany w Polsce, i sądzę, że przemyślenie tworzonych u nas przekładów w kategoriach udomowienia i egzotykcji byłoby bardzo cenne, zwłaszcza w kontekście historycznym.

Parę tygodni temu rozmawialiśmy z Andersem na temat Europy jako kontynentu przekładu. Tutaj sytuacja jest nieco inna – nie mamy jednego języka-połykacza, jeśli wyłączymy Wyspy Brytyjskie. Mamy natomiast szansę na dialog między językami mniejszymi niż angielski, językami nie-imperialnymi, które dzięki temu mogą tworzyć pewną sieć porozumienia.

Anders Bodegård: Tak, są takie możliwości. Na przykład mamy w Skandynawii utopijny projekt, jakim jest nordyzm, czyli wspólnota nordycka. W Danii, Norwegii, Szwecji, Finlandii, na Islandii mówi się różnymi językami, ale istnieją polityczne struktury, żeby utrzymać wspólnotę, która – jakkolwiek nierealnie i śmiesznie by to nie brzmiało – jakoś żyje. Bardziej dzisiaj niż przedwcześniej, a jednak żyje – wśród młodych literatów. Wzmacnia się kontakty między młodymi szwedzkimi czy islandzkimi pisarzami. Może wydawać się to dziwne, ale dla mnie to świetne. Bo jesteśmy sąsiadami, nasze języki są różne – bardzo różne, jeśli chodzi o fiński – i cała ta działalność jest niezmiernie ciekawa. Największa szkoła pisarzy w Szwecji, przy uniwersytecie w Göteborgu, przyjmuje literatów z językiem szwedzkim, norweskim i duńskim. I chociaż potrafimy czytać bez konieczności wzajemnego przekładu, chcemy wszystko tłumaczyć. Ja bardzo dobrze czytam po norwesku, ale i tak chcę, żeby tamte dzieła zostały przełożone na szwedzki. Dla nas – żeby język szwedzki został nimi wzbogacony. To taka nordycka wspólnota, może i utopijna... Czy istnieje

jakaś wspólnota europejska? Nie wiem. W dalszym ciągu istnieje rozłam między Zachodem i Wschodem. Mam takie wrażenie, kiedy rozmawiam z polskimi pisarzami, że jednak lepiej czują się z ludźmi Wschodu niż...

Adam Pomorski: Ale Anders, czuję się z tobą świetnie!

Anders Bodegård: Ja też czuję się świetnie... Z sobą... Bardzo chcę, żeby Europa była właśnie taka... Trzeba się uczyć języków, po prostu. Niestety, w Szwecji uczymy się ich coraz mniej, bo angielski funkcjonuje jako drugi język. Ja nie mam nic przeciw temu, ale szkoda, że coraz rzadziej uczymy się francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego... Częściej chińskiego i arabskiego – to bardzo dobrze. To jednak warunek – trzeba pilnować szkolnictwa – to bardzo ważna sprawa.

Magda Heydel: Znowu wracamy do twardej polityki: systemy szkolnictwa powinny być nastawione na wielojęzyczność i powinny ją promować. Przypomniała mi się moja rozmowa z Beatą Stasińską, która stwierdziła, że Unia Europejska chyba się rozpadnie, jeśli zabraknie wzajemnych tłumaczeń. Trzeba to potraktować jako akt polityczny. Rządy powinny wspierać tłumaczy poprzez subsydia, żeby ta wymiana, o której mówił Adam Pomorski, wymiana właśnie na poziomie literackim, nie do zastąpienia przez żadne inne media, mogła budować poczucie wspólnoty i poczucie wzajemnej nie więzi, ale wiedzy. Po tym płomiennym zdaniu oddają głos Andrejowi, który na pewno ma dużo do powiedzenia o oswojaniu, wyobcowaniu i o wielojęzyczności w cieniu jednego wielkiego języka.

Andrej Chadanowicz: Właśnie. Sporo zagadnień jednocześnie... Obawiam się wewnętrznej schizofrenii... Jak powiedziałem, w obecnej sytuacji najlepsze, co mogą zrobić dla tłumacza białoruskie władze, to nie zauważać jego istnienia. Przynajmniej tłumacz może spokojnie przetrwać, w sensie fizycznym, przez trudne czasy, które – nie chciałbym być złym prorokiem – mogą przyjść. Nie ukrywam: istnieje na Białorusi nieoficjalna czarna lista zakazanych autorów; ktoś figuruje na niej dlatego, że był opozycyjnym politykiem, kandydatem na prezydenta. Ale w tym spisie są też trzej tłumacze. Polityka przeszkadza w rozpowszechnianiu ich przekładów. Chcę, żeby Państwo wiedzieli, że obecny tutaj Chadanowicz jest osobą podejrzaną. Na liście książek zakazanych znajduje się wspomniany tłumacz z niemieckiego, Wasyl Siomucha. Za co? Za tłumaczenie Goethego, Rilkego i wielu innych. Jeden z najwspanialszych białoruskich eseistów

i filozofów powiedział kiedyś, że w czasach sowieckich Białorusinom czy Ukraińcom wolno było uprawiać najwymyślniejszą lirykę erotyczną (spokojnie, w rustykalnym stylu), ale nie wolno im było uprawiać filozofii. Filozofia musiała być w Związku Radzieckim w języku rosyjskim. Mniej więcej w taki sposób funkcjonowało tłumaczenie. Z rzadkimi wyjątkami, na które zezwalała władza sowiecka: na przykład kiedy bracia Białorusini tłumaczyli z przekładu rosyjskiego braci Kazachów. Każde pojawienie się Szekspira czy Goethego było z góry podejrzane. W Białorusi władza ma dwa wygodne stereotypy. One są biegunowe, ale jednocześnie chyba się zbiegają. Pierwszy stereotyp: białoruskie znaczy najgorsze. Drugi: białoruskie znaczy najlepsze. I w różny sposób te stereotypy działają.

W pierwszym przypadku: „Co może być dobrze przetłumaczone na język białoruski?”. Przecież niektórzy z moich kolegów do dzisiaj mają ten stereotyp w głowie, czasem nasi dobrzy sąsiedzi. Podchodzisz na przykład do francuskiego dyplomaty i prosisz o poparcie tłumaczenia Baudelaire’a. „Ale po co?” – pyta taki Francuz z naiwnym błyskiem w oku. „Przecież jesteście dwujęzyczni i na białoruskim rynku jest Baudelaire w tłumaczeniu rosyjskim. Potraficie przetłumaczyć lepiej?” – mówi ten francuski kolega. I w głowie co drugiego białoruskiego studenta pojawia się myśl: „No dobrze, dobrze, jestem białoruskim patriotą. Ale jak wspaniale wyglądają te rosyjskie tłumaczenia!”. W tym sensie miałem dwa najwspanialsze doświadczenia: tłumaczenie na język białoruski tekstów najhermetyczniejszych, a z drugiej strony najpotoczniejszych, najprymitywniejszych, jak choćby piosenek. Oba przeczą temu stereotypowi. Na przykład Stéphane Mallarmé, o którym Jules Renard powiedział kiedyś: „Tłumaczyć Mallarmégo z francuskiego? Niech najpierw ktoś przetłumaczy go na francuski”. Próbowałem raz przełożyć naprawdę skomplikowany tekst, zaniósłem go do redakcji czasopisma, którego redaktorem był chyba największy białoruski żyjący poeta, Aleś Razanau. Powiedział: „Brrr, tego nie da się czytać, młody człowieku. Proszę jeszcze coś z tym zrobić”. Ale wyszedłem jak na skrzydłach: udało się. W tej kulturze zrozumie to pięciu, najwyżej sześciu ludzi. A teraz przyłączyłem się do awanturniczego projektu tłumaczenia znanych piosenek funkcjonujących u nas jako przeboje, na przykład rock ukraiński, rock...

Pozostali: Ro-c-k?

Andrej Chadanowicz: ...przez „ck”, tak, tak, ten nowy rock. Piosenka rosyjska po białorusku. Okazało się, że można i da się. I jasne, że jeszcze

wczoraj wspaniali białoruscy piosenkarze śpiewali po białorusku i czuli kompleksy. Zakończę chyba myślą o tłumaczeniu jako o kontrabandzie. Ostatnia piosenka, którą przetłumaczyłem, nazywa się *Kontrabandy*, śpiewa ją rockowy zespół Mumij Troll. W oryginale figurowała Moskwa. W wersji białoruskiej pojawiły się dwie linijki. *Nam by u Bielarus', choť Baćka nie dawał kamandy*. „Nam by na Białoruś, choć Baćka” – czy muszę tłumaczyć, kto to jest Baćka? – „nie wydał rozkazu”.

Magda Heydel: Ta metafora, która pojawiła się w końcówce wypowiedzi Andreja: przekład jako kontrabanda, tłumacz jako ktoś, kto dokonuje pewnej interwencji politycznej... Czy zechciałbyś o tym powiedzieć, Adamie? To temat, który z jednej strony jest oczywisty w obszarach, w których pracujesz. Z drugiej strony to pojęcie z translatoologii postkolonialnej, bardzo nowoczesnej i budzącej duże kontrowersje. Na ile tłumacz może pozwolić sobie na to, żeby jego przekład był interwencją, pewnym aktem politycznym, a nie tylko lub nie przede wszystkim odwzorowaniem?

Adam Pomorski: Ja zacząłbym od czegoś innego. Andrej wspominał o filozofii, której nie można było tłumaczyć w czasach sowieckich na białoruski, na ukraiński i na pozostałe języki. Państwo są tu w większości w takim wieku, że nie pamiętają, na czym polegała historia filozofii w Związku Sowieckim. Jej najkrótsze streszczenie wyglądało tak: przodem idzie idealista, a za nim dwóch realistów w cywilu. I to jest chyba najbliższy kontakt... nie wiem, czy przekładu, ale literatury z polityką. Jeżeli chodzi z kolei o to, co powiedział Anders o inwazji angielszczyzny w językach nordyckich, na co narzekają zresztą także Holendrzy... Mnie się wydaje, że u nas jest zupełnie tak samo. Polacy również zaczęli mówić po angielsku i bardzo rzuca się to w oczy i uszy w telewizji. Z lubością usypiam sam siebie, przerzucając kanały telewizyjne. Jestem fanem zwłaszcza hollywoodzkich filmów piątego gatunku tłumaczonych na polski, dlatego że zawsze znajdzie się w nich coś miłego dla ucha. Na przykład, kiedy Szatan w postaci jakiejś krzyżówki ptaka, gada i żółwia spada na dno wiadomego leja i widzi Oko Boże błyskające w górze zza chmurki, i skrzeczy w tę górę „Galilejczyku! Dejdź!”... Moim zdaniem jest to postępowanie cywilizacyjne: Polacy zaczęli mówić po angielsku.

Magda Heydel: W wypowiedzi Adama żartobliwie, a w wypowiedzi Andreja bardziej dramatycznie pojawia się motyw dwujęzyczności nie tylko

jako przestrzeni wolności i możliwości, ale również jako pewnego przekleństwa.

Adam Pomorski: Otóż swego czasu, na prośbę Fundacji Batorego, wszedłem do zespołu, który po trzech latach istnienia gimnazjum w Polsce opiniował sześć najpopularniejszych kompletów podręczników z zakresu przedmiotu, który kiedyś nazywał się językiem polskim, a teraz jest wiedzą o kulturze, literaturze czy czymś takim. Podręczniki jak podręczniki, ale jedno mnie uderzyło. Jak Państwo może pamiętają, były to czasy, kiedy Polska miała właśnie wejść do Unii Europejskiej. W związku z tym, na podstawie instrukcji ministerialnych, wszędzie trzeba było dodać coś o Europie. I potwierdzając założenie Magdy, że każdy tekst jest ideologiczny – zabroniono pisać podręczniki szkolne mową odautorską, ponieważ wypowiedź autora jest ideologiczna. Wobec tego musiały one nabrać charakteru wypisów szkolnych. I autor miał prawo tylko dawać na marginesie drobne uwagi w rodzaju „Co to jest Odrodzenie?”. I w podręczniku do klasy, jak dziś pamiętam, drugiej gimnazjalnej, autorstwa dwojga pracowników Instytutu Badań Literackich zresztą, był cały rozdział zatytułowany „My w Europie”. No i teraz urządzmy sobie mały quiz. Jak Państwo sądzą, jaki był pierwszy tekst w rozdziale „My w Europie”? Dla ułatwienia podpowiem, że to tekst biblijny. Ale jaki? Otóż przewodnim tekstem biblijnym w rozdziale „My w Europie” była historia o potopie. Rozumiem, że dla rymu – my w Europie, historia o potopie. Ale najzabawniejszy był aspekt translatorski. Mianowicie tekst był podany chyba w najgorszym istniejącym na rynku przekładzie Pisma. Państwo tego nie słyszą, ale mam na myśli tak zwaną Biblię Warszawsko-Praską. Otóż pierwsze zdanie świętego tekstu podane dzieciom w podręczniku szkolnym, przykład owego stylu hieratycznego, o który tak chodziło Miłoszowi, kiedy tłumaczył Biblię na polski, brzmiało jak następuje: „W miarę tego jak ludzie żyli na ziemi, przybywało im także córek”. A związki z politycznością rozsądzą Państwo sami.

Magda Heydel: Rozumiem, że to jest komentarz Adama Pomorskiego do interwencyjnej roli tłumacza, w której przoduje przekład feministyczny, w tym inkulczywny przekład Biblii. Przybywa córek. Mam nadzieję, że to ku lepszemu...

Adam Pomorski: Wszystko skończyło się potopem...

Głos z widowni: Dwa tygodnie temu byłam na wręczeniu Nagrody Literackiej Miasta Warszawy i pani przewodnicząca Rady Miasta, która jest jednocześnie wydawcą, powiedziała, że jesteśmy pierwsi w Unii Europejskiej pod względem przekładu i że to jest 70% naszej produkcji wydawniczej. I że w Polsce od dwóch lat obchodzimy 30 września Międzynarodowy Dzień Tłumacza i tłumacze spotykają się w Warszawie w coraz większej sali: za pierwszym razem w Zachęcie, w ubiegłym roku w Zamku Ujazdowskim, a niedługo będziemy wynajmowali Salę Kongresową.

Adam Pomorski: Mogę Panią pocieszyć – tłumaczenie nie wchodzi na przykład do pensum naukowego. Jeśli ktoś tłumaczy Hegla, Schleiermachera czy innego Schopenhauera, to proszę pamiętać, że uprawia działalność hobbystyczną.

Magda Heydel: No i znowu mamy do czynienia z kwestią natury urzędniczo-politycznej: czy przekład jest działalnością naukową czy też nie.

Susan Bernofsky: Przetłumaczyłam Schleiermachera i również nikt mi za to nie zapłacił. W Stanach Zjednoczonych przekład jest zajęciem, z którego właściwie nie da się żyć, może z wyjątkiem dwóch najbardziej znakomitych tłumaczy. Tak więc większość ludzi, którzy zajmują się przekładem literackim, ma oprócz tego jeszcze jakąś pracę. Ale nie zgadzam się, że jest to działalność hobbystyczna. Na pewno tłumaczenie to dużo więcej niż hobby.

Głos z widowni: Pozwolę sobie zadać pytanie, interesujące w kontekście wzajemnych stosunków polsko-białoruskich. Jak interpretowane są w tłumaczeniu teksty naszych poetów romantycznych, zwłaszcza trzecia część *Dziadów*?

Andrzej Chadanowicz: Adam potem doda coś w stylu mądrym, a ja najpierw powiem w stylu prowokującym. Jasne, że jeżeli w Białorusi znają nazwisko Mickiewicza, wiedzą przede wszystkim, że lepiej by było, gdyby rzeczywiście pisał po białorusku, ale z jakichś technicznych powodów pisał po polsku. Dlatego wielu patriotów uważa Mickiewicza za poetę białoruskiego. I nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby uważano go i za poetę białoruskiego, i za litewskiego. Ale czasem to wygląda tak, jak przeciąganie koldry ze strony polskiej na białoruską, z białoruskiej na litewską. Przecież napisał: „Litwo! Ojczyzno moja!”. Osnowa tematyczna – litewski

poeta, który z jakichś technicznych powodów, z powodów historycznych, pisał po polsku. Czyli jeżeli udałooby mu się żyć w szczęśliwszych czasach, rzeczywiście pisałby po litewsku, po białorusku i tak dalej. Moim zdaniem wszyscy popełniają błąd, nie zauważając jakiejś obcości, nie kultuwując Mickiewicza jako wielkiego sąsiada, wielkiego obcego, w obliczu którego jaśniej i wyraźniej widać ich odzwierciedlenie. Ale jeżeli tłumacz powie: „On jest nasz”, narzuca mu to strategię nawiązania do tekstów białoruskich. *Pan Tadeusz* istnieje w trzech białoruskich wersjach, ale tak naprawdę jeszcze czekamy na czwartą, piątą, dziesiątą, dokładną wersję białoruskich tłumaczy. Chyba tłumacz z sowieckich czasów posunął się najdalej, upodabiając Mickiewicza troszeczkę do wzorców białoruskiej metryki, powiedzmy do *Nowajej ziarni* Jakuba Kołosa, troszeczkę do *Jewgienija Oniegina* Puszkina... I wiele przepięknych rzeczy, które u Mickiewicza brzmiałyby odwrotnie, znajdujemy w tej samodzielności, w tej interwencji. Nie wiem, jak to jest stylistycznie u Litwinów – na ile Mickiewicz jest wpisany do litewskiego kanonu. Ja staram się jednak w miarę skromnych możliwości walczyć o polskojęzyczną literaturę, która nie byłaby sumą tekstów nie napisanych po białorusku z powodów technicznych, ale wielką literaturą najbliższego sąsiada, która jest inna od naszej, dzięki czemu możemy wzajemnie korzystać, czytając jedni drugich.

Adam Pomorski: Można coś dodać krótko? Zastanawiałem się, jak w ogóle można rozmawiać z Polakami na te tematy, bo rzeczywiście jest trochę tak, jak Andrej powiedział, z tym wzajemnym ściąganiem z siebie koldry. Po pierwsze myślę, że trzeba zmienić kwantyfikator wypowiedzi. Odpowiedzieć na pytanie, jakie warunki musiały być spełnione, żeby zjawisko w rodzaju Mickiewicza powstało. I kiedy się nad tym zastanowimy, zrozumiemy, że musiał być spełniony warunek wieloetnicznego środowiska, w którym wielki poeta się zrodził i w którym tę wieloetniczność absorbował, absorbował do tego stopnia, że, jak Państwo pamiętają, klasycy warszawscy z tamtej epoki zarzucali mu barbaryzowanie polszczyzny wtrętami ruskimi. Ta pamięć jest istotna, ale jest jeszcze parę innych szczegółów i nazwisk poprzedzających pod tym względem Mickiewicza. To w ogóle jest sprawa całego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tam był inny patriotyzm, tam była inna figura narodu, inna jego definicja. Naród był zróżnicowany społecznie, o czym dzisiaj już nie pamiętamy, a pojęcie narodu nie odnosiło się do całej ludności – było wyróżnikiem społecznym. W naszej tradycji literackiej jest kilku Białorusinów, którzy stali się wybitnymi pi-

sarzami, a zwłaszcza poetami polskimi. I oni wnoszą swój białoruski substrat i do polszczyzny, i do tradycji polskiej. To w Oświeceniu na przykład Kniaźnin i Naruszewicz. Co charakterystyczne, byli jezuitami. Jezuita na Białorusi, nawet jezuita polscy (a nie zawsze tak było), wyrazili w pewnym momencie oświeceniowe ambicje narodu i kultury białoruskiej. I zgodnie z doktryną zakonu, nakazującą wykorzystanie elementów lokalnej kultury do działalności misyjnej, stworzyli wyraz literacki, wyraz kulturalny dla miejscowych tradycji zarówno języka pisanego, jak i języka folkloru.

I mamy jeszcze jednego poetę polskiego, polskojęzycznego, który jest rodowitym Białorusinem, jezuitą, i który stworzył odpowiednik tego, co nazwalibyśmy w Polsce białoruską szopką, po białorusku *batlejka*. I nie przypadkiem wymieniam to nazwisko, dlatego że mamy w rezultacie rodziny polskiej groteski literackiej w tej samej osobie. Nie ma tradycji polskiej groteski bez księdza Baki. On już dawno został uwolniony od narzuconego mu przez klasyków pozoru grafomana, jest po prostu uznanym patronem groteski, wielbionym przez największych polskich poetów nowoczesnych. Nawiasem mówiąc, Filomaci z Mickiewiczem pisywali do siebie listy rymowane księdzem Baką. I z tego punktu widzenia mówiłem o roli wieloetniczności, dlatego że ona tworzyła wielowymiarowość kultury polskiej – nie tylko etniczną. Nie byłoby narodzin polskiej groteski bez tego obcowania. Swoją drogą, tu przydali się jeszcze Niemcy – te wesołe makabreski, niemiecki *Totentanz*. Przetoczyło się to przez Koronę, doszło na Ruś, tam skrzyżowało się ze skoromoskim folklorem i nagle z tego wyszły zjawiska w rodzaju księdza Baki. I po amputowaniu nam przez Jałtę wieloetniczności straciliśmy napęd tej naszej wielowymiarowości kulturalnej.

Proszę popatrzeć, co się dzieje dzisiaj. Wręczaliśmy półtora miesiąca temu w Pen Clubie nagrodę Sławomirowi Mrożkowi, i Janusz Majcherek, który wygłaszał jedną z laudacji, przytoczył coś, co zbulwersowało środowisko teatralne. Jedna z bardzo wziętych w tej chwili młodych reżyserek teatralnych zapytana kilka lat temu, dlaczego nie wystawia Mrożka, oświadczyła, że Mrozek jej nie interesuje, bo on pisze pełnymi zdaniem, a jej rówieśnicy tak nie mówią. No dobrze, ale tu się po drodze stało coś innego – straciliśmy zmysł ambiwalencji stylistycznej! W moim pokoleniu czytaliśmy Mrożka jako dwuznaczność. Jeżeli okaże się, że Mrozek to ten, co pisze pełnymi zdaniem, to o żadnej dwuznaczności oczywiście nie może być mowy. Jeśli zaczniemy w ten sposób czytać Gombrowicza, jeśli cała ambiwalentna stylistyka zostanie sprowadzona do tego poziomu, to

rzeczywiście pozostanie nam tylko wołać „Galilejczyku! Dejwidzie!”, bo nic nas nie ocali. I proszę wziąć pod uwagę, że to jest proces historyczny, w tę stronę zmierza rozwój kultury polskiej. I analogia Jałty jest tu uderzająca: co nam wtedy wycięto i co zaczęliśmy tracić. Jeszcze między 1956 a 1968 rokiem nastąpił wzlot, najwyższy chyba w dziejach nowoczesnej kultury polskiej. We wszystkich dziedzinach sztuki pojawiły się nagle największe nazwiska, i to takie, które rzeczywiście zainteresowały cały świat. I co dalej? I dalej zaczyna to pomalutku wsiąkać w piasek. Aż doszliśmy do tego, że wtedy właśnie, między 1956 a 1968 rokiem, Mrozek pisał pełnymi zdaniem, a dzisiaj nikt tak nie mówi.

Głos z widowni: Krótkie pytanie co do sytuacji w Stanach. Czy jest szansa na to, żeby ten nikły odsetek tłumaczonych tytułów wzrósł, a jeśli tak, co trzeba zrobić?

Susan Bernofsky: Na pewno wzrośnie. Tak naprawdę nie wiem, jak to zrobić. Oczywiście krajobraz literatury zmienia się, głównie dzięki Internetowi. Pojawia się bardzo wielu wydawców, takich o mniejszym zasięgu, którzy są zainteresowani tłumaczeniami. Ponadto młode pokolenie poetów, pisarzy, czyli ludzi około dwudziestego roku życia, także zaczyna interesować się przekładem. Za wcześniej może, by mówić, jak to będzie wyglądało, ale wydaje mi się, że więcej będzie na amerykańskim rynku przekładów literackich. Myślę jednak, że to będzie podlegało procesowi decentralizacji, więc na pewno tłumaczeń nie będą publikować największe wydawnictwa, tylko mniejsi wydawcy oraz wydawnictwa internetowe.

Magda Heydel: Kończę to spotkanie z żalem, że nie udało się porozmawiać o wielu sprawach, ale również z poczuciem, że otwiera się wiele wątków, które należałoby podjąć. Na przykład konieczność przemyślenia historii literatury polskiej ze względu na jej wielokulturowość, wielojęzyczność. Historia przekładu w literaturze polskiej. Historia literatury polskiej jako historia przekładu – myślę, że to by nam otwarło niezwykle interesujące, przeformułowane obrazy epok. Nasunęła mi się paralela z literaturą pisaną w języku angielskim w Irlandii. Stosunki wielokulturowości w kontekście jednojęzyczności. Interwencja, za którą odpowiedzialny jest tłumacz i którą podejmuje za każdym razem, kiedy dokonuje przekładu i politycznego, i literackiego. Budowanie porozumienia przez przekład i jego rola w tworzeniu organizmów politycznych. Czy wresz-

cie sytuacja, kiedy przekład jest awangardą zmiany w zastałym systemie literackim, zastałym z tego powodu, że jego środowiskiem jest język dominujący, osiadły, który nie musi się wysilać, żeby powiedzieć to, co chce powiedzieć. Pozostaje nam zatem wiele tematów do dalszej rozmowy i do przemyślenia. Dziękuję.

spisał Mikołaj Denderski